

NASZA RECENZJA

Nie jestem entuzjastą „Portretu” Mrożka, dlatego też nie obiecywałem sobie wiele po premierze tego utworu w poznańskim Teatrze Nowym. Tymczasem spektakl w reżyserii Eugeniusza Korina prezentuje się korzystnie: nie jest pozbawiony teatralnej urody, ani dobrego, ekspresyjnego aktorstwa. Początek jest istotnie mało obiecujący, ale potem rzecz nabiera rumieńców, bo reżyser zongluje sprawnie różnymi konwencjami: od teatru absurdu po groteskę. Akt I przedstawienia to obraz Bartodzieja: jego schizofrenicznych wręcz urojeń. Jak wyrzut sumienia błąka się po jego świadomości (przybierając kształt cielesny) dawny przyjaciel, którego w 1949 roku zadenuncjował, czyli mówiąc ówczesnym językiem: zdemaskował jako wroga. Teraz po 1956 roku Bartodziej (**Michał Grudziński**) wegetuje gdzieś na prowincji w nieudanym stadle małżeńskim, w poczuciu winy i beznadziei.

W akcie II dochodzi do dramatycznego spotkania obu dawnych przyjaciół. Jest połowa lat 60. Anatol uniknął ongiś cudem wyroku śmierci, a teraz objęła go amnestia. Bartodziej szuka kary, ale Anatol nie pragnie zemsty. Obaj cierpią na kompleks Stalina, obaj mają poczucie zmarnowanego życia. Przeszłość jest pustką pozbawioną sensu. Anatol, wczorajszy idealista, czynnie zaangażowany w walkę z reżymem stalinowskim, chce teraz normalnie żyć, nawet za cenę akceptacji tego co jest, za cenę konformizmu. Kiedy więc donosić kaja się, to represjonowany zdaje się chwalić istniejący porządek. Czy zatem Anatol stał się cynikiem, czy też uwierzył w sens tego, co istnieje? (**Rola Marka Obertyna nie daje przekonującej odpowiedzi**). Czy jest coś stałego, jakiś system wartości, który trwa, w który można wierzyć? — zdają się pytać dawni przyjaciele.

W akcie III jawi się na scenie Arkadia: Bartodziej opiekuje się we własnym domu chorym, sparaliżowanym Anatolem. Ale ile w tym miłości, potrzeby odbudowy autentycznej i bezinteresownej więzi, a ile narzuconej sobie czy wymuszonej ekspiacji? (**Michał Grudziński nie stara się dać konkretnej odpowiedzi**). Rozpadowi ulega jednak życie osobiste obu par, bo Anatol ma młodą przyjaciółkę (**Danuta Stenka**), która jednak nie

KROKI STALINA

wytrzymuje ciężaru życia z przykutym do wózka mężczyzną. Żona z kolei Bartodzieja (**Stanisława Celińska**), nie zaspokojona w swych pragnieniach, zaczyna odczuwać fizyczny pociąg do drugiej kobiety (świetna scena).

Tło sceniczne stanowi najpierw gigantyczny portret Stalina. Kiedy zniknie, pozostaje pusta rama z widoczną gołą ścianą. Z tej ściany wyrastają w schizofrenicznym zgoła akcie I — fragmenty mebli. W III akcie mur znika całkowicie, pozostaje tylko pusta rama — otwarte szeroko okno. Od czasu do czasu w owej ogromnej ramie, stojącej na scenie, ukazują się zdjęcia rodzinne wykonawców, komentowane „zza kadru”. Taki zabieg rozbija iluzję, podkreśla wpływ czasu, buduje ironiczny dystans: oto na tle dramatycznej historii życie toczy się normalnie, ludzie rodzą się, kochają, uczą się, zdobywają zawody, robią kariery...

Są w tym przedstawieniu odniesienia do polskiego romantyzmu. Monolog Bartodzieja w prologu to jakby Wielka Improwizacja z „Dziadów”, wadzenie się z bóstwem młodości — Stalinem. W innym znów momencie Anatol błąka się po scenie niczym Widmo, wygląda jakby przyszedł tu z kanałów, z „Rzeczy listopadowej” Brylla. Potem zaś (ale to już wbrew intencjom realizatorów) przypomina supermana, choć miał być skrzyżowaniem ducha z więźniem. Następnie niczym Guślarz z „Dziadów” aranżuje obrzęd przywoływania duchów. Ale kiedy słyszy kroki Stalina pada (wylew w mózgu), jak Kordian przed sypialnią cara, owładnięty strachem i imaginacją.

Są w tym przedstawieniu dwie szczególnie wyraziste sceny. Oto w finale I aktu Bartodziej niszczy portret Stalina: przypala wodzowi fajkę, a płomień tworząc przez moment aureolę wypala dziurę w miejscu, gdzie znajdowała się głowa dyktatora. Kiedyś byłby to czyn zgoła świętokradczy, bluźnierczy. Szczególnie efektowna jest jednak ostatnia scena w tym przedstawieniu. Oto przez szeroko otwarte, ogromne okno wpada przypadkiem papierowa strzała rzucona dziecinną ręką. A potem jeszcze jedna i jeszcze jedna. Lecą ze wszystkich stron, także z góry — jak liście lub jak płatki śniegu. Urok świeżości i beztroski? Żywioł dzieciństwa? A może gombrowiczowski zgoła cudzysłów, w który wzięta zostaje owa Arkadia?

Akt II i III poznańskiego przedstawienia jest gorzką przypowieścią o konsekwencjach stalinizmu w życiu pokoleń Polaków, na przestrzeni także lat 60 — 80. Jest przypowieścią o spustoszeniach, jakich dokonał w umysłach i duszach, w podświadomości nawet. Jest przypowieścią o człowieczeństwie, które istnieje poza ideologią i polityką.

Błażej KUSZTELSKI